

Raprtularz niepoczciwy

Gdyby życie kulturalne stolicy kraju mierzyć programami kin, radia i telewizji, można by łatwo dojść do wniosku, że oto nastał czas wielkiego rewanżu. Wyciąga się bowiem omszałe staroście, ekshumuje rozmaite dzieła naftaliną pachnące.

W tej szczególnej chwili „kulturalnej czkawki” teatr „Ateneum” wystąpił z premierą „Białych noc” Dostojewskiego. Premierowy spektakl odbył się na eksperymentalnej „Scenie 61”, jedynej w stolicy bezbłędnie, bo naturalnie klimatyzowanej sali widowiskowej (w „Kongresowej” też świeża, ale za silne przeciąpi), w trzaskający mróz.

Jedna pani w półkożusku zauważyła do pana w pilocie: „Zdoinych mamy teraz literatów, szkoda gadać — Jarecki, Abramow, Dostojewski... Tylko po co takie rzeczy między publicznością robić?”.

Patrząc na samotnianą parę Kępińska — Kowalski w bezpośrednim sąsiedztwie krzesła dla publiczności, w ciastnym kręgu widzów w każdej chwili zagląających aktorom w dziurki od nosa, myśli się: mordercza próba talentów, nie wszyscy luminarze sceny wyszliby z niej swycięsko.

Dygresyjka: świetny jest program do „Białych noc”, dzieło anonimowego autora. Czyżby w naszych teatrach wygasł humanitarny obyczaj zlecania takich rzeczy kuzynom organizatorów widowisk i zięciom suflerek?...

W przeciwieństwie do tego i owego teatru, w muzealnictwie naszym obowiązuje powszechnie starzyzna: gabloty, szafy, tablice, szacowny kurz i konieczność zstawania od progu.

No cóż, jeśli ma się Monę Lisę czy Venus z Milo, można ignorować wymogi epoki kina i telewizji — jeżeli jednak chce się „sprzedać” treść cokolwiek mniej atrakcyjną i sławną, trzeba pomysłowości i liczenia się z nawykami ludzi żyjących.

Odwrotnie pocyna sobie dyrektor Adam Mauersberger z Muzeum Mickiewicza na Rynku Staromiejskim! Już po raz któryś z rzędu cała Warszawa wali do „Mauzium” jak na występ Juliette Greco. Szanowny dyrektor nie waha się najdostojniejszego tematu zaprezentować ludziom w sposób widowiskowo-fotoplastikonowy. Wystawa, zorganizowana w stulecie powstania styczniowego, była ekspozycją niesłychaniej ilości autentycznych do-

kumentów i fotografii (głównie z albumów rodzinnych), pokazanych z prostotą i przedstawnym wzięciem przez Stanisława Zamecznika.

Głównym źródłem nastroju osobliwości, atmosfery leśno-partyzanckiej, było ogniisko płonące na muzealnym podwórczku. Ogromne zdjęcie powstańców, pieśni patriotyczne płynące z głośników, nawet płatki śniegu dekoracyjnie padające — wszystko wyreżyserowano po mistrzowsku, zatrzymując się taktownie na krok przed przekroczeniem granicy szmiry.

W tłumie wstruszonych pań w nylonowych perukach i bez peruk oraz panów doktorów z bratnich muzeów krążył dumnie „Mauzio”, poruszający znacząco krzaczastymi brwiami. Miał świetny dzień — przed chwilą wygłosił jedno z najwspanialszych przemówień powojennej Polski: trwało 15 sekund (nie licząc minuty ciszy).

Na skafepi powierzeni kilku łsb „Mauziolum” odbyło się małe okolicznościowe przyjęcie. W drzewnianych misach podano kartofie, w mundurkach (nawiązanie do ogniska, a nie do błędów w dystrybucji) z solą oraz kabanosy w płonącym spirytusie. Symboliczny kieliszek wódki dopełnił aluzji.

Przestań, Kowalski, strolć głupie miny i powiedz uczciwie: w muzeum staromiejskim umożliwiono sobie i tysiącom innych warszawiaków krótką chwilę refleksji i zadumy nad jednym z rozdziałów historii kraju...

Zadnych dysproporcji w treści i formie nie było na premierze najnowszego programu studenckiego kabaretu „Stodoła”. Na premierowe przedstawienie przybył kwiat młodzieży z dyrektorem Brombergiem i redaktorem Szydłowskim na czele. W programie „Mimośród, nie pantomima” zasyfrowano tak świetnie szereg interesujących myśli, że część z nich pozostała na zawsze własnością autorów widowiska.

Pomimo wszystko „Stodoła” dała smowu do myślenia zawodowym satyrykom, pokazała nie tylko trochę gołego ciała, ale i nierutynarskie-ego aktorstwa, zaakcentowała raz jeszcze ważną rolę wypinania się teatrów studenckich na taniochę profesjonalistów.

Tyle, że to już tak przez siedem lat. Młodzieży, zaczynajcie się wypinać inaczej! Tymczasem więc: „Hej, zanućmy głosy trzema: Nie ma. Nie ma. Nie ma. Nie ma”. (Gałczyński).
Oras KOWALSKI